

BATAAMUIN.

K o ł d u n y.

(Powieść prawdziwa, z przeszłego wieku).

... ipse malum sibi cacat.
Plin.

Od dzieciństwa mego wszystkie zmysły człowieka dziwnie uwielbiałem. Nieraz ubolewałem nawet, że ich więcej nad pięć nie posiadamy. Co to, bywało, za rokosz! kiedy się ze szkół z Połocka przyjedzie, na wakacje, do domu rodziców! Wbiegam naprzód do garderoby, i widzę, widzę memi własnymi oczami hoże dziewczęta; słyszę że coś szepeją między sobą; nabieram gustu, czyli raczej zaczynam *smakować* w tym przytulku niewinności pasterskiej; dalej... ale potem o tém. Stamtąd wpadam do ogrodu: patrzę, aliści jabłka i gruszki obciążają wszystkie drzewa: że aż serce puka; *dotykam*, nieco zatwardę; więc nie zrywam, ale na później, jako dwuletni retor *), odkładam. A tymczasem uderzam na porzeczeki i kosmaty agrest, i w nim okropnie plądruję. Stąd, jak strzała, wlatuję do pokoju matki: zmysłem *powonienia* wysledzam, że w szafce są konfitury malinowe, poziómkowe, i t. p.; blokuję zamek: garderobiana dąsa się i krzyczy, ja jednak nie-strwożony, wiedząc z retoryki (*De arte rhetorica*), jakiemi argumentami pokonywać opór, posuwam ręce i zwycięsko zdobywam słoiczek malin, w którym cały mój smak zatapiam. — W uniesieniu przepomniałem powiedzieć, że matki wtenczas nie było: znajdowała się w oborze przy innych dziewczętach. — Uwieńczony pomyslnym skutkiem zwracam kroki moje do stajni; zahaczam nogi w strzemiona i po polu cwałuję, dla rospędzenia, jak mówi Horacyusz czy tam Owidyusz, plag otrzymanych w ciągu dziesięciu miesięcy, które ze mną razem na siodle się umieściły, a jak Boalo dodaje, ze mną też razem rzną galopadę **). Pędzę i pędzę białonóżkę przez

rowy i piaski, przez błota i laski, i jestem we wsi rodziców mego socijusza szkolnego, etc. I o tém się kiedyś później, nieco obszerniej powie.

Ale z drugiej strony rzeczy biorąc, nie lubię *zmysłów* szczególnie za to, iż częstemu zmydłaniu, czyli, jakem się potem na lekcyach fizyki dowiedział, częstemu złudzeniu podlegają. Jezuici nam o tej ich niedorzeczności bynajmniej nie mówili. Bo też tam żadnej obłudy i żadnych złudzeń nie było. Wchodzi człek, bywało, do klasy, i zmysł powonienia uwiadamia mnie, że łoża pachnie; patrzę, aliści stoi pieniek; rzucam wzrok na katederkę, aż tam i dyscyplina o pięciu ramionach, któremi tylki dziecięce czule się obejmują, rokosznie się wylega; tu ucho moje łechce w niezbyt oddaloném miejscu, bo koło pieca, harmoniczne turkotanie przesuwanej tablicy i zataczanego kłoca; dalej wdzięczny łoskot wznoszenia się i opadania bizuna *); naresztę malownicza muzyka rozmaitych głosów, i t. p. Powraca *studiosus* (a przytym panie i *sodalis*) do stancyi, chwytą za kawałek chleba: ten szorstki; wacha masło, to jelkie; patrzy boleśnie na scholastykę, ta na wznak leży, dotyka się Alwara, ten twardszy od granitu, a w smaku przechodzi nawet *foenum graecum* **), i t. p. I w tém wszystkiém rzeczą

*) Pewny professor, mający za sobą powagę jedenaścioletniego doświadczenia, gotuje światu uczoną rosprawę o *bizunie*: z dewizą, Ad. Naruszewicza: »O z wieków cudotworny synu byczej skóry!« — Nim wszakże praca ta na jaw wyjdzie, nie od rzeczy będzie wskazać źródło tego wyrazu. *Dictionnaire classique d'histoire naturelle*, pod wyrazem *Boeuf*, w T. 2, powiada: »Buffon a été induit en erreur d'après les écrivains anciens, à commencer par Plin, par le mot germain *Bisem*, désignant l'odeur musquée des vieux Aurochs, et latinisé dans le nom de *Bison*.« Stąd się dowiadujemy, że Buffon nie znał bizunów. Szczęśliwy! I niżej, pod wyrazem: *L'aurochs*: (Zubr des Polonais) »cette odeur de muse est l'origine du nom de *Bison* donné à ... par les auteurs du moyen âge, qui ont latinisé (według Alwara, ed. Poloc.) le mot allemand *Wisem* ou *Bisem* lequel signifie *Musc*.« i. t. d. Jest tam i o *bizunie* amerykańskim i o innych wiele pięknych wiadomości. Niech tylko pamiętać raczy szanowny czytelnik, iż gdzie my piszemy *u*, tam w innych prowincjach piszą *o*: stąd mówią, bizony, koldony, i. t. p.

**) *Oset dziki* służący za tuczny pokarm znajomym zwierzętom. Pospółstwo tamtejsze nazywa go *czortopolochem*. O woni pachnącej można się dowiedzieć i z wyż. przytoczonego *Dictionnaire*

*) »Dwuletni retor wart dobrego teologa.« *Przysłowie jezuitkie*.

**) ... et galoppe avec lui.

samą nigdy prawie nie oszukiwaliśmy się. Dopiero to w uniwersytecie pierwszy raz (r. 1806) się dowiedziałem, że zmysły nasze, owe drogie niebios dary, doznawają omamienia, i tu dopiero pojąłem jasnie owo zdarzenie z koldunami, którego byłem naocznym świadkiem, a które wam, kochani czytelnicy moi, opiszę.

W roku 1797, — kiedym się znajdował podczas świąt Bożego narodzenia na łonie rodzicielskim, daleki, bo o 42 mil, od łoskotliwego miasta, gdzie do szkół chodził, — pewnego dnia mój ojciec był zaproszony na obiad, o dobrą milę, do pana Szambelana. Żem już nie był infimistą, a do tego, od dwóch miesięcy, udało mi się szczęśliwie powitać smażoną mową rodziców, siostry, braci, i całą czeladź, która się do kapitolium nacisnęła słuchać nowego Tulliusza, ojciec mój, nadewszystko czeząc we mnie *igniferum marianum*, o czym się z tej oracyi dowiedział, wyjeżdżając do Zabolocia raczył i mnie wziąć z sobą. Przybyliśmy do miejsca pożądanego na godzinę 12stą, gdzieśmy niemal już gości zastali. Po przywitaniach wzajemnych i uczynieniu adoracyi państwu szambelaństwu, zajęliśmy, jedni siedliska, drudzy stanowiska, sobie właściwe. Ledwo godzina upłynęła, kiedy za otwarciem drzwi ukazała się ogromna waza z koldunami, którą pompatycznie na środku stoła umieszczono. Gospodarz, żartkiego smaku, mający kapryśne w nich upodobanie, pierwszy się posuwa na wzwiady, azali dobrze są zrobione? Uchyła nieco pokrywy, i powonieniem zbadać przedsięwzię, czyli też świeżem jest mięso, które, jak wiadomo Litwinom, stanowi grunt i podstawę kolduńskiej dobroci? Alie zaledwo trzykroć nosem pociągnął, trzykroć razy drażliwe jego nerwy nieprzyjemnego doznały uczucia. Cofnął się, jak Eneasz ujrawszy w piekle Kartaginę, zmarszczył brwi, aż się dwa bieguny stołu zakolysały i, tupnąwszy nogą, jakby trójzębem Neptuna, o ziemię, głosem do grzmotu podobnym każe wołać kucharza. Wchodzi biedak blady i drżący, w postawie Sozya, winowajcy i, koło drzwi, lokuje się przy ścianie. — Jakie to mięso? wrzasnął piorunującym gardłem P. Szambellan, aż kucharzowi łytki się zachwiały. — Wołowe, panie! — Ale śmierdzące! — Nie, panie! świeże. — Co ty mi jeszcze będziesz gadał! i, wyzionąwszy z

zagniewanych ust swoich tę ostatnią groźbę, cisnął o ziemię pokrywę od wazy i rękę w niej zagłębił... *Conticuere omnes, umikli wszysecy* *), kiedy pan Szambellan począł wreszcie, jak z pracy, ciskać nań koldunami... Tu dopiero otworzyła się scena daleko mocniej zajmująca, osobliwie mnie, niż dyalogi połockie corocznie na ś. Ignacy wyprawiane. Kucharz bowiem stał nieporuszony, jak kolos rodyjski oparty na dwóch nogach. Oblicze tylko zwrócił do pana i oczy mocniej wyteżył ku tej dłoni, która nań, w zapale gniewu, silne pociski miotała. Nadto, troskliwy o nie naruszalność swej facyaty, z przytomnością sabajdacznego łuczника, manewrował ciągle głową, względnie do dyrekcji latających koldunów, to na lewo, to na prawo. Tak dalece, iż wśród rześistego gradu bomb unoszących się do koła, (bo sześć ich kop było) ani jednego nie otrzymał postrzału. Gospodarz bowiem, w wezbranej sierdzistości rozognionego serca, im bardziej żądał umalować twarz, i tak już lśnącą, Brandysa, tym bardziej go ręka złością przejęta zdradzała. Nareszcie kolduny się wyczerpnęły. I pan Szambellan, zasapany, cały zaperzony i długą walką znużony wybęknął wreszcie rozkaz, ażeby natychmiast świeże zrobił, pod groźbą 30 bizunów **). Wyszedł wprawdzie z ataku kucharz dziwnym przejrzeniem losów ocalony; ale ściany malowane, lanszafty, kopersztychy za szkłem, i Garson chrapiący w kącie, okropnych doznały ciosów! Wszystkie się kolduny na nich splaszczyły. Tu jeden zajął miejsce jabłka, które Adamowi Ewa podaje. Tam dwa, u zaślepionej bogini sprawiedliwości, błyszczały zamiast oczu. Owdzie, za Mieczysława, wlekący bałwanów do rzeki, ciągnęli i topili kolduny. Dalej nos bogini Wenery schował się w koldunie. Gdzie indziej djabeł dostał trzema po ogonie, (s czegom najwięcej był kontent, bo on to właściwie musiał do nich na mieszać dyweldreku. Ale, co mnie najmocniej bolało, jakaś panienka, *et quidem* nie szpetna, schwyciła jednego z najbrzydszych koldunów. — Jeszcze choć jedno malowidło! — Z owym rokosznym dzieckiem, z owym lubuchnym kupidyńkiem, któremu z rozdartego w przelocie na dwoje ciasta porobiły się skrzydelka, którego pulchniutkie ciało utopiło się w mięsnej siekance, z owym tak już zamaskowanym chłopięciem, *nito* bożkiem ni

class. d'histoire naturelle et T. 2. pod artykułem choćby i Assa foetida. Wszystko to jedno.

*) Tłumaczenie dziesięcioletniego tłumacza Iliady.

**) Patrz wyżej.

koldunem, pieściła się pogańska Psyche *) — Historya do nieopisania! Porobiły się karykatury, jakich potym ani w zbiorze Hogarta, ani między szkicami Orłowskiego nie widziałem.

Powtórnie się uciszyło. Słudzy weszli z koszami dla zabrania szczątków, jakby rozbiteków po morskiej nawałności, i wywabienia błyszczącej emalii, którą się, z dziwną rozmaitością przy zachowaniu światłocienia, pokryły i ściany i meble. Uprzątnęło się, co się dało uprzątnąć na prędce, kiedy w pół godziny przyniesiono drugie danie takichże samych koldunów. Gospodarz wacha je jak wprzód: ni pachną, ni cuchną: Siedliśmy więc do stołu przy dobrym humorze pana Szambelana, i jedliśmy podług możności. Jam zjadł 12, a mój sąsiad 26. Gospodarz tylko zlał sobie tłustością kuntusz i śmiał się. Córka jego nie mogąc całego połknąć, czwartą część bryłowatości uszczknęła, zapryskala oczy panu Łowczemu, który się pono do niej adressował, i raka upiekła. Pan Krajczy, (o ten pan Krajczy!... ale i o nim kiedyś później) człowiek dobrze podżyły, z czupryną podgoloną, najzręczniejszy połykał. A tym właśnie był mój stołowy sąsiad. Rozmowa się przelewała z ust do ust; uśmiech przeskakiwał od jednych do drugich; dalej pijatyka; dalej śmiech huczniejszy; dalej wrzawa jeszcze niezrozumialsza; dalej to i owo; nareszcie wstaliśmy od stołu.

Każdy się ku wieczorowi bawił, ile mu siły koldunami stargane pozwalały: to w ówka, to w kasztelana, to w arcaby, to w censurowanego, i t. p. Ja z moim kolegą zrobiliśmy (między nawiasami) wycieczkę do praczkarni, a stamtąd, że po drodze było, do kuchni, gdzie, z żalem tkliwej Dydony, (aż się mu bowiem lzy w oczach kręciły) kucharz opowiadał nieprzewidziane zdarzenie, którem do żywego był ugodzony. I dowiódł nie gorzej, jak pamiętam, od Cycerona za Milonem, że mięso w pierwszych i ostatnich koldunach było jedno i toż samo. Przekonałem się zatem, i to w lat dziewięć, już w Wilnie, iż panna Szambelana zmysł powonienia, czyli węch, uwieść w błąd musiał. Co jest właśnie złudzeniem. — (*Dalszy ciąg niekoniecznie potrzebny; więc go w następnych numerach czytelnik niech już nie wygląda.*)

ŁAZ. ZAPRZANIEC.

*) Unikając zgorzenia nie czytaj mitologii, ale raczej Diction. class. d'hist. nat. T. 14. (r. 1828).

ROZMAITOŚCI.

— W Londynie umarł temi dniami, w 66 roku życia, aplikant jednego adwokata, zostawiwszy po sobie ogromny majątek. Był to człowiek nader szczególnego charakteru. Od młodości nienawidział kobiet, śmiertelnie niemi pogardzał i nigdy nie był żonatym. Nikt nie widział uśmiechu na jego twarzy. Nigdy nie sprawiał żadnej odzieży i całe życie chodził w sukniach jednego ze swoich przyjaciół, co niemniej od niego samego był skąpym. Sam naprawiał sobie obówie; szczególnie nawet chował przywiązanie ku najstarszym i najmocniej wypłowiałym perukom. Na pięć lat przed zgonem nikt nie był nogą w jego sypialnym pokoju i, przez tenże przeciąg czasu, mieszkanie jego nie było wymiatanem. Nigdy nie ucierał nosa inaczej jak w kawałek bibuły, i sam gotował sobie codzienne jadlo, którego główna sasadę stanowiła stara słonina. Wynał nawet sposób korzystania z jej wierzchniej skóry, krając ją w paski któremi zawiązywał trzewiki; lecz zmuszony był niebawem oszczędności tej zaniechać, gdy psy zbiegały się zewsząd i kąsały go w nogi, liżąc ostatki pozostałej przy paskach tłustości. Nakoniec, kota swojego karmił za pomocą nacierania mu całej skóry tąż słoniną, którą potem nieszczęśliwe zwierzę cały dzień liżało.

Tureckie przysłowia Mały kamień sprawia niekiedy wiele łoskotu. — Wozem zaprzężonym parą wołów doganiaj zająca. — Głupi przyjaciel więcej ci czasem sprawi umartwienia niżeli rozsądny nieprzyjaciel. — Przez samo wymawianie nazwiska miodu nikomu nie będzie słodko w gębie. — Ten co szuka przyjaciół bez wady, żadnego nie znajdzie. — Wziął wronę za słowika. — Jédz i pij s przyjacielem, ale nie wchodź z nim w żadne interesy. — Każdy raz tylko jeden pozwala się oszukiwać. — Ciężko wilka ułowić za uszy. — Niemożna pod jedną ręką dwóch melonów nosić. — Ażeby żyć spokojnie, należy być głuchym, niemym i ślepym. — Jedną kroplą miodu więcej much nałowisz niżeli beczką octu. — Człek głupi nosi serce swe na języku: rozumny nosi język pod sercem. — Dobre wino i ładne kobiety, są to dwie słodkie lecz najjadowitsze trucizny. — Lepsze dziś jaje, niżeli jutro kura. — Jeżeli nie-

przyjaciół twój mniejszy jest od mrówki, wyobrażaj go sobie większym od słonia. — Kto wszystko wie tego najłatwiej oszukać. — Kto za każdym płacze, sam niebawem olśnie. — Więcej się uczemy z rozmowy, niżeli s książek. — Więcej na świecie rzeczy niewidzialnych niżeli widzialnych. — Kto tylko pożyczanym koniem jeździ, ten najczęściej chodzi pieszo. — Nie wierz bieliznie twojego turbanu. — Kupuje na bóg mydło. — Śmierć jest czarnym wielbłądem, co przed każdymi drzwiami przykłęka. — Idąc do ślepego, zawiąż sobie oczy. — Krew nie krwią się obmywa, lecz zimną wodą. — Serce jest dzieckiem, co spodziewa się tego właśnie czego sobie życzy.

Chińczycy mają w języku swoim komedię pod tytułem *Skapca*, (*Chan Tzan - Tzon*, t. j. niewolnik bogactw swoich), w której spotykają się często wcale dowcipne humorystyczne obrazy. Stary kupiec Ku-Tin, główna działająca osoba, opowiada w niej sam o sobie następującą anegdotę: »Jednego razu zachciało mi się śmiertelnie pieczony kaczki. Idę na rynek i wnet postrzegam kaczkę tylko co z ognia. Najsmaczniejszy, tłusty sok, lał się z niej strumieniem. Udając iż chcę targować, zbliżam się, ujmuję ręką, zapuszczam w nią wszystkie pięć palców i trzymam dopóty, dopóki się całkiem soczystą ciecżą nie napoiły, poczem, nie dobiwszy targu, uciekam do siebie i zasiadam u stołu. Miałem właśnie na obiad półmisek jagieł, gotowanych w wodzie: owoż, tkam je w gębę łyżką, a za łyżką palec. Wyssawszy takim sposobem cztery palce zostawiłem piąty nazajutrz, na śniadanie. Ale nieszczęścia szukać niedaleko. Podczas snu, przekłety domowy kóndel całkiem mi go oblizał, i, obudziwszy się, aż zachorowałem z umartwienia.«

Tenże dostojny mąż, czując przybliżenie się zgonu, pyta syna swojego: »W jakiejże trumnie zamierzasz mnie pochować?« —

»Ojcie, jeśli nieszczęście to spotkać mnie miało, kupię ci najpiękniejszą sosnową trumnę, jaką znajdę w mieście.« — »Zmiłuj się, synu, nie rób tego głupstwa! Sosnina dziś droga! Wszakże, za stajnią, wala się oddawna kawał starego żłobu. Dla czegożbyś go nie miał użyć dla mnie za trumnę?« — »Ależ, najukochańszy ojcie, żłób ten jest za krótki i ciało wasze żadną miarą w nimby się nie pomieściło.« — »No, jeśli krótki, to najpożyteczniej będzie skrócić stosownie do jego wymiarów własne moje ciało. Weź topór, rozrąb mnie na dwie części i ułóż jedną z nich na drugiej. Tylko, proszę, nie rąb mnie nowym moim toporem, ale pożycz u sąsiada.« — »A toż dla czegoż?« — »Dla czegoż? Czyż nie wiesz że kości moje twarde są jak kamienia, i topór takby się na nich powyszczerbiał, iż mało by dziesięciu groszy na naprawę? Lecz czuję zgon bliski i, po kilku chwilach, na wieki cię pożegnaj! Słuchajże, kochany synu, nie zapomnij upomnieć się o trzy grosze, których mi dotąd nie oddaje stara przekupka, u której jadam bobową zupę.«

— U Kosyahów, plemienia mieszkającego na południowych brzegach rzeki Gangesu, około 280 mil ang. odległości od Kalkutty, znajduje się szczególniejsze prawo następstwa tronu Radszahów. Spada bowiem nie na synów lub synowców, jak u nas, lecz na synów sióstr panującego, ażeby, według ich mniemania, krew królewska, zostawała zawsze nieskażoną.

NO W I N K A.

Ostatniemi dniami umarł w Z..... młody staroście, przy pomocy doktora Bimbira. Jeden z krewnych nieboszczyka odezwał się do niego: »Mości Konsylijarzu! a gdyby mu krew puszczono, możeby był wyzdrowiał.« — »Ach, co W Pan bredzisz, odpowiedział P. Konsylijarz, byłoby jeszcze gorzej.«

Balamut wychodzi raz na tydzień, w Soboty. Cena roczna z pocztą r. ass. 2¹. Prenumerować można zapisując odczyty do Redakcyi, (Въ Редакціи Баламута, въ книжной Лавкѣ Смирдина, въ С. Петербурзь,) lub do Gazetnej Ekspedycyi tutejszego Pocztamtu (Въ Газетную С. Петербургскаго Почтамта Экспедицію.) Prenumerującym posyłają się zawsze wszystkie numera od początku roku wyszłe.

Exemplarzy Balamuta z lat zeszłych dostać można udając się do samej Redakcyi, pod wyżej opisanym adresem. Kompletny egzemplarz z lat czterech, od Maja 1850, aż do końca 1855 roku, kosztuje r. ass. 55; Pojedyncze zaś egzemplarze z któregośkolwiek roku, oddzielnie, po r. ass. 17 kop. 50; prócz roku 1850 który kosztuje tylko r. ass. 10. W ceny te wchodzi już i opłata pocztu. W Warszawie, kompletne egzemplarze Balamuta z lat zeszłych, znajdują się w xi. garni PP. Zawadzkiego i Węckiego.